

DLA MŁODSZYCH.

Opowiadania przyrodnicze

przez

ELEONORĘ LAZARUS.

1. Zwiastuny wiosny.

Było to w marcu, w Afryce.

Pan Bocian i pani Bocianica składali pożegnalne wizyty.

O, bo Bocian to wielki pan! Żyje on wprawdzie u nas, ale z nastaniem mrozów odlatuje do krajów cieplejszych, do Afryki, by z wiosną znowu do wiosek naszych powrócić. Ludzie nazwali go też dlatego ptakiem wędrownym, a ponieważ lubi brodzić w bagnach, nazwano go i jego krewniaków, jako to: żórawia, czajkę, czapłę i t. d. brodziecami.

Całe upierzenie bociana jest białe, końce skrzydeł tylko są czarne, a długi dziób i wysokie nogi — czerwone.

Państwo Bocianowie poszli do blizkiego egipskiego krewniaka, Ibis.

— Więc już napewno odlatujecie z Afryki — zapytał Ibis Bociana.

— Tak, tak! — odrzekł Bocian — stęskniliśmy się bardzo za naszą ojczyzną i musimy do niej wracać.

— Hm! ja tam nie wiem, jak wasza ojczyzna wygląda, jestem tu w Afryce zrodzony i wychowany. Jednego tylko nie rozumiem: jeżeli tak bardzo do wiosek waszych tęsknicie, czemuście je porzucili?

— Musieliśmy. U nas zima ciężka, moglibyśmy łatwo zamrznąć, a przytem i pokarmu brak... trzeba było opuścić jesienią nasze wioski i przybyć tu do was w gościnę.

— Twoje odwiedziny były mi bardzo przyjemne — odpowiedział grzeczny Ibis. — Powiedz mi jeszcze, kochany Bocianie, jak trafisz do swojej wioski?

— O trafię! — zawołał. — Droga, która do niej prowadzi, wbiła się głęboko w mą pamięć. Nie tylko, że wioskę rodzinną

odnajdę, ale wrócę nawet do tego samego gniazda, które sobie w przeszłym roku wybudowałem. Jeżeli będzie zniszczone, to je naprawię. Znajduje się ono na strzecie pewnej chaty. Ludzie nie tylko pozwalają nam osiedlać się w swem pobliżu, ale kładą na strzechy stare koła lub brony, żeby nam budowę gniazd ułatwić. Gniazdo nasze zbudowaliśmy w przeciągu trzech dni.

— W tem głównie moja zasługa, — dodała pani Bocianica, — ja bowiem głównie zajęta byłam budową, podczas gdyś ty mi znosił materyały do niej i jedzenie.

— Przyznaję ci to w zupełności, moja kochana, — odpowiedział Bocian, a zwróciwszy się do Ibisa, kończył swe opowiadanie: Gdy gniazdo już jest skończone, a z jajek w niem złożonych wylęgną się młode, wtedy jedno z nas, ja albo Bocianica zostaje na straży, a drugie leci za żerem.

— Każdy wieśniak ofiaruje nam z radością swoją strzechę na mieszkanie, — dorzuciła Bocianica, — i zowie nas „ptakiem szczęścia“ lub „zwiastunem wiosny“.

— Alboż wy im wiosnę zwiastujecie? — zapytał ciekawie Ibis.

— Tak jest. Przybывamy zawsze do kraju w marcu, a wtedy się wiosna u nas zaczyna. Lody i śniegi topnieją, słońko świeci na błękitnem niebie, trawki zaczynają kiełkować...

— Zapomniałeś mi powiedzieć drogi Bocianie — przerwał Ibis — czem się żywisz? co zjadasz, by głód swój zaspokoić?

— Jem to, co i ty, — odpowiedział Bocian, — żaby, ryby, ślimaki, krety, myszy, węże, a nieraz młode zajączki i małe piśkleta.

— Czy się nie zdarza czasem — pytał dalej Ibis — że który z was Bocianów zachoruje przed odlotem? Czy czekacie na jego wyzdrowienie? czy bierzecie go na wasze skrzydła?

— Czy czekamy na wyzdrowienie chorego? — ze zdziwieniem powtórzył Bocian, — a nuż tymczasem inny zachoruje, nuż zima nadejdzie? Przed odlotem zbieramy się na wielki sejm bociani i na nim radzimy, który z pośród naszego grona jest niezdolny do takiej podróży. Gdy się taki znajdzie, wtedy zadziobujemy go, by nie stał się dla wszystkich przeszkodą.

— Ale patrz! patrz! — przerwała roztropna pani Bocianica, — my rozmawiamy, a tu wszyscy nasi towarzysze zebrani są już do odlotu. Spieszmy się i my, by się nie spóźnić.

I państwo Bocianowie pożegnali się serdecznie z uprzejmym Ibisem.

— Kle, kle! kle, kle! dawało się tu i ówdzie słyszeć, to Bociany nawoływały się wzajemnie.

Na dany znak, wszystkie rozwinęły skrzydła, głowę i szyję wyprostowały, nogi wyciągnęły za siebie i... odleciały.

— Do widzenia, na przyszłą zimą! — wołał za nimi Ibis.

2. K u n a.

W dużym, posępnym lesie mieszkała sobie kuna. Ciało miała długie, a króciutkie nogi. Chodziła lekko, stąpała bez szelestu, a nieraz, gdy zobaczyła młode ptaszki, przyczaiła się cichutko... i... nagle... — cap! chwyciła którąś ptaszynę.

Jeżeli jej się udało wśliznąć do mieszkania wiewiórki w pniu spróchniałego drzewa, zawsze stamtąd także wynosiła ofiarę.

Dla tych jej drapieżnych obyczajów, dlatego, że się żywi ptaszkami, wiewiórkami i innymi zwierzątkami, nazwano ją *zwierzęciem drapieżnem*.

Ogon ma kuna puszysty, kolor sierści czarniawo-ślony, a tylko podgardle jej jest żółte.

W dzień siedzi zwykle w swoim mieszkaniu, ale za to nocą wychodzi i napada śpiące zwierzątka.

Nasza kuna cieszyła się bardzo, że zima już mija.

— Teraz dopiero będzie mi wesoło! — zawołała uradowana na widok pierwszych złotych promieni wiosennego słońca, — wnet już drzewa zazielenieją: toż to będę wtedy skakała i biegała po gałęziach! I wyżywić się będzie łatwiej, bo powrócą znów do nas wszystkie te ptaszki, które spędzają zimą w ciepłych krajach.

Podczas gdy kuna leśna takie sobie układała plany na nadchodzącą wiosnę, krewniaczka jej, kuna domowa, nie potrzebowała szukać żeru daleko.

Kuna domowa zupełnie jest do leśnej podobna, tylko podgardle ma białe.

Zaczaiła się cicho w podwórzu, pod węglem kurnika, a widząc kury i kurczęta przed progiem, gotowała się już do skoku, aby porwać które z nich.

Ale przezorny kogut dostrzegł grożące niebezpieczeństwo i donosił: „ku-ku-ryku!” ostrzegł kureczki, które wróciły natychmiast do kurnika.

Kunie żał się zrobiło, że musi się zrzec smacznego kąska, nie dała więc za wygraną, tylko wciąż przemyślała nad tem, jakby tu ukraść choćby jedną kurkę! Przysunęła się jeszcze bliżej do kurnika i rzekła pokornym głosem:

— Nie bójcie się mnie kureczki! Wiem, że zawiniłam ciężko, zjadając wasze rodzeństwo, to też już się teraz poprawię, wiercie mi, że od tej chwili ptasiego mięsa jeść nie będę!

Roztrzepane, gdakające kurki gotowe były zaraz uwierzyć słowom kuny. Darma kogut gniewał się i przestrzegał je, im szło tylko o to, aby jak najprędzej rozbiedz się po całym podwórzu.

Nagle podniósł się przerażający wrzask łatwownego ptactwa.

Kuna porwała kurczę! Zapóźno już było rozpaczać! Ra-buśnica wdrapała się szybko na wysoką gałąź lipy, a słysząc wołania: „Zdrajczyni!” „Oszukała nas!” „Niegodziwa!” — odpowiedziała spokojnie:

— Prima Aprilis! — i zjadła biedne kurczątko.

3. Gadatliwa srocza.

Tak — tak! Tak — tak! — Czek-czek! — Czek-czek! — skrzeczała gaduła-srocza.

Gadułę znali wszyscy, a skoro tylko usiadła na ulubionym płotku, poznawali ją z daleka.

Miała długi ogon i skrzydła pięknie połyskujące, cała była czarna, a tylko płaszczyk na ramionach i brzuszek miała biały.

— Śliczne mam gniazdeczko, śliczne gniazdeczko! tak, tak! — wołała srocza.

— Ha! ha! — zaśmiał się wróbel — widzę, że masz ochotę do gadania, bo choć cię nikt o nic nie pyta, skrzeczysz sama do siebie. Chwalisz się swem gniazdeczkiem! Ciekawy jestem, co ty pięknego zrobisz potrafisz?

— O bardzo proszę! — zawołała oburzona sroka. — Szczygłe, kochany szczygiełku, powiedz mu, jak moje gniazdo wygląda, wszak ci je wczoraj pokazywałam!

— Jest bardzo ładne, doprawdy, — odpowiedział szczygieł. — Zbudowałaś je bardzo zgrabnie z patyczków i przykryłaś cierniowym daszkiem.

— A widzisz! — krzyknęła srocza do wróbla.

— Dlaczegoż mając tak ładny domek, wysiadujesz całymi dniami na gałęziach drzew i na płocie i papłasz bez opamiętania? Aby paplać, gotowaś nawet nie rozumiejąc ich, powtarzać wyrazy, których cię ludzkie dzieci wyuczyły, ty próżnująca gaduło! Ale pamiętaj, że paplanie twoje nie każdemu jest przyjemnem, — zawołał znów kłótniwy wróbel.

— Właśnie, że jesteśmy srocze i za jej wesołość i za różne przysługi bardzo, bardzo wdzięczne, — krzyknęły chórem kureczki, kaczki, gęsi, indyki, szczygły, sikory i inne ptaszki, stając w obronie napadniętej.

— Wdzięczne jej jesteście, że krzyczy wam dzień cały nad uchem? Ja wolę śpiew słowika, albo też nawet pianie koguta, — upierał się wróbel.

— Nie nowina, że słowik jest królem śpiewaków, — odkrzyknęły inne ptaki, — przecież srocza temu nie winna, że do śpiewających nie należy, — a jej wesołe skrzeczenie lubią zwierzęta i ludzie. — Zaś wdzięczni jesteśmy srocze nie za żarty, — rzekła gaska, — ona to nagłym donośnym krzykiem przestrzega nas przed grożącym niebezpieczeństwem, gdy tylko dojrzy jastrzębia lub krogulca, który czycha na naszą zgubę.

Do spierających się ptaków, przyłączył się w tej chwili skowronek. Usłyszał on, jak kłótniwy wróbel zarzucał srocze, że nie nie robi, że próżniaczką jest i tylko skrzeczy po całych dniach, więc stanął także w obronie towarzyszek.

— Srocza jest pożyteczna, wygłosił dźwięcznie i donośnie. — Jestem nieodstępnym towarzyszem rolnika i nieraz słyszałem, jak błogosławił sroczkę za to, że zjada szkodliwe robaki.

Pstry wróbel zadziwił się bardzo i trochę zawstydził.

— Ha, kiedy to tak się rzeczy mają, — kiedy i ptaszki i ludzie kochają cię i przyznają, że umiesz być użyteczna, choć

nie ładnie śpiewasz, to i ja cię przepraszam, bo pierwaj nie wiedziałem o tem, — zawołał z grzecznym ukłonom.

— A ja się wcale nie gniewam, odpowiedziała pobłażliwa. I w zupełnej zgodzie żyły odtąd ptaszki ze sobą.

Mądry pudel.

Pewien lekarz, mieszkający w małym prowincjonalnem miasteczku, kupił dla swego malutkiego synka wózek, najpiękniejszy, jaki tylko w składzie wózków mógł dostać. Codziennie wyjeżdżała piastunka z wózkiem i obwoziła po ulicach młodego doktora, a wiernym towarzyszem tych spacerów był Lot, wskakiwał chętnie do wózka, dawał się wozic, ale za to pozwalał, by małe rączki dziecięcia bez miłosierdzia szarpały jego czarne kudły.

Jednego dnia zniknął wózek. Piastunka zostawiła go, jak zwykle, w szopie na podwórzu, nazajutrz rano nie było go już tam, ktoś go skradł. Daremne były wszelkie poszukiwania, a pani doktorowa wybrała się w kilka dni potem na zakupno nowego. Lot towarzyszył jej. W tem stanął, zaczął wietrzyć w powietrze, i nagle w wielkich podskokach pobiegł na drugą stronę ulicy. Tu zaczął, wesoło szczekając, obiegać wesoło w około wózek dziecięcy, w którym siedziały dwie dziewczynki. Doktorowa zwróciła na to swą uwagę, przypatrzyła się bliżej wózkowi i pomyślała: „Nieba, to pewnie nasz wózek“. Wtem skoczył Lot ze zwykłą zręcznością do wózka i tu zaczął tak gwałtownie szczekać, że obie dziewczynki wybuchły wielkim płaczem, podczas gdy służąca, pchająca wózek, starała się psa odgonić. Doktorowa przystąpiła bliżej i poznała rzeczywiście swój wózek. Szczekanie psa i płacz dzieci zwrócił uwagę stójkowego, który wkrótce wybałał, że służąca wózek ukradła dla swoich siostrzyczek.

Lot dostał za swą roztropność dużą kieszkę.

Teśknota konia za domem.

Podczas mego pobytu w Bohulan (zachodnie wybrzeże północnej Szwecyi), opowiedziano mi następujące, podziwienią godne zdarzenie:

Z początku muszę zauważyć, że tam sługi dłużej jednego miejsca się trzymają, jak u nas, przez to wywiązuje się nieraz

stosunek wielkiej przyjaźni między nimi, a zwierzętami domowymi, które są ich pieczy oddane. W dobrach Asendorf przy Ljundorf miano 24-letniego konia, imieniem Herkules, który tam się urodził. Po śmierci właściciela sprzedała wdowa Herkulesa na licytacji pewnemu młynarzowi. U swego nowego pana nie chciał jednak Herkules nic jeść, a nawet gdy mu do samego pyska pchano owies lub chleb. Wkrótce potem gdy syn dawnego jego właściciela przyjechał był do młynarza, postawiono dawnego towarzysza Herkulesa obok niego. Radość jego była z powodu tego tak wielką, że pierwszy raz od czasu sprzedaży jadł Herkules. Gdy Florę, tak nazywał się jego towarzysz, zabrano, jeszcze gorzej było z Herkulesem, wdychał, jak człowiek i znowu nic nie chciał jeść. Wtedy przyszedł młynarz do przekonania, że z nim nic się nie da zrobić, wziął go więc na targ i sprzedał. Wkrótce jednak spostrzegł jego nowy właściciel, że koń, chociaż stoi w stajni z drugimi, nie przyjmuje pożywienia. Przymusił więc młynarza, by ze stratą odebrał sobie konia. Teraz dogorywał prawie Herkules, a wtedy dopiero poszedł młynarz do Asendorfu, z płaczem opowiedział zajścia z koniem dotąd, że nie może więcej patrzeć się na męki konia. Postanowiono więc konia odkupić. Gdy go przyprowadzono napowrót, podniósł najprzód głowę, potem obwąchał ziemię, a gdy długoletni, stary parobek się zbliżył, aby go wziąć, położył mu głowę na ramię, poszedł posłusznie za nim do stajni i jadł stare siano, które tam 14 dni leżało i z pewnością przez żadnego nie byłoby zjedzone. Właścicielka wzruszona przywiązaniem starego konia, powiedziała ku wielkiej uciechu dzieci, że więcej się z nim nie rozłączy. Jak dobrze muszą tam konie pielęgnować! Niedawno widziałem Herkulesa i Florę, pasące się na pięknym, zielonym stoku góry.

Uczony jeleni.

Często zdarza nam się widzieć w cyrkach, różne mniej lub więcej ciekawe jelenie produkcy, lecz podobnie udatna dresura tych nieśmiałych i lękliwych mieszkańców lasu, o jakiej Delacroix opowiada, należy rzeczywiście do rzadkości.

Delacroix podczas swego pobytu w Compiègne, odwiedził pana, który wychował jelenia, zdradzającego zadziwiający in-

stynkt. Uprzejmy gospodarz, chcąc gości zabawić, przyszedł zaprezentować im swego jelenia. Zaprosił ich więc do dużego salonu, gdzie wygodne zajęli miejsca; po chwili wprowadzono zwierzę, które widząc zebrane towarzystwo, ukłoniło mu się nisko, schylając głowę kilkakrotnie, a następnie złożyło każdej znajdującej się tam osobie, oddzielny ukłon. Wspaniałego wzrostu, o wyglądzie dumnym, jelen miał oko żywe i pełne ognia, a jednak nadzwyczaj łagodne, prawie że słodczy powiedziałbyś dobrego człowieka, malowała się w jego źrenicach.

Czego tylko pies, najlepiej dresowany dokonać jest w możliwości, jelen ten wykonywał z niemniejszą zręcznością. Po między innemi wyuczonymi sztuczkami, nosił naprzykład, przez kilka chwil nadzwyczaj spokojnie kij w gębie, na którego obu końcach, przymocowane były palące się świece. Najmniejszego przy tem nie widać było ruchu głową, najmniejszego skinienia, tak, iż wydawać się mogło, że kij i świece, wyrastają ze szczęki zwierzęcia. Następnie z akuracnością godną podziwu, przedstawiał cały akt egzekucyi. Zawiazanemi oczami, spuszczał się przy posępnych uderzeniach bębna na kolana, wyciągając głowę jakby pod cięcie topora, daleko od siebie na ziemi. Wtem wyraz „łaska“ uderza o jego ucho, usłyszawszy ratujący go od śmierci wyraz, jelen natychmiast podnosi się z klęczek i dumnie prostuje głowę. Strzelał też wcale zręcznie z karabinu, pociągając zębami za mały umieszczony przy broni sznurek, przesakiwał przez obręcz trzymaną na wysokości 6 stóp, a na koniec przedstawienia, mądry jelen zjadał z bębna, pomimo że w niego uderzano z całej siły, garść rzuconego tam owsa.

Kącik humorystyczny.

Egzamin z zoologii. *Uczeń:* „Przecież to jest niesprawiedliwość, otrzymać przy egzaminie z zoologii „niedostatecznie, gdy na 3 pytania dwa dobrze się odpowiedziałem“.

Kolega: „To prawie do niewierzenia. Jakież były to pytania? *Uczeń:* „Pyta mnie profesor: „Znasz sikorkę?“, „Odpowiadam dobrze: „znam“; „Znasz dzięcioła?“, zaowu odpowiadam dobrze: „znam“; no prosz: ciebie profesor stawia mi jeszcze trzecie pytanie, czy nie umiałbym powiedzieć, jaka jest różnica między tymi ptaszkami. Ponieważ nie umiałem przypadkowo podać tej różnicy, dostałem drugą“.
